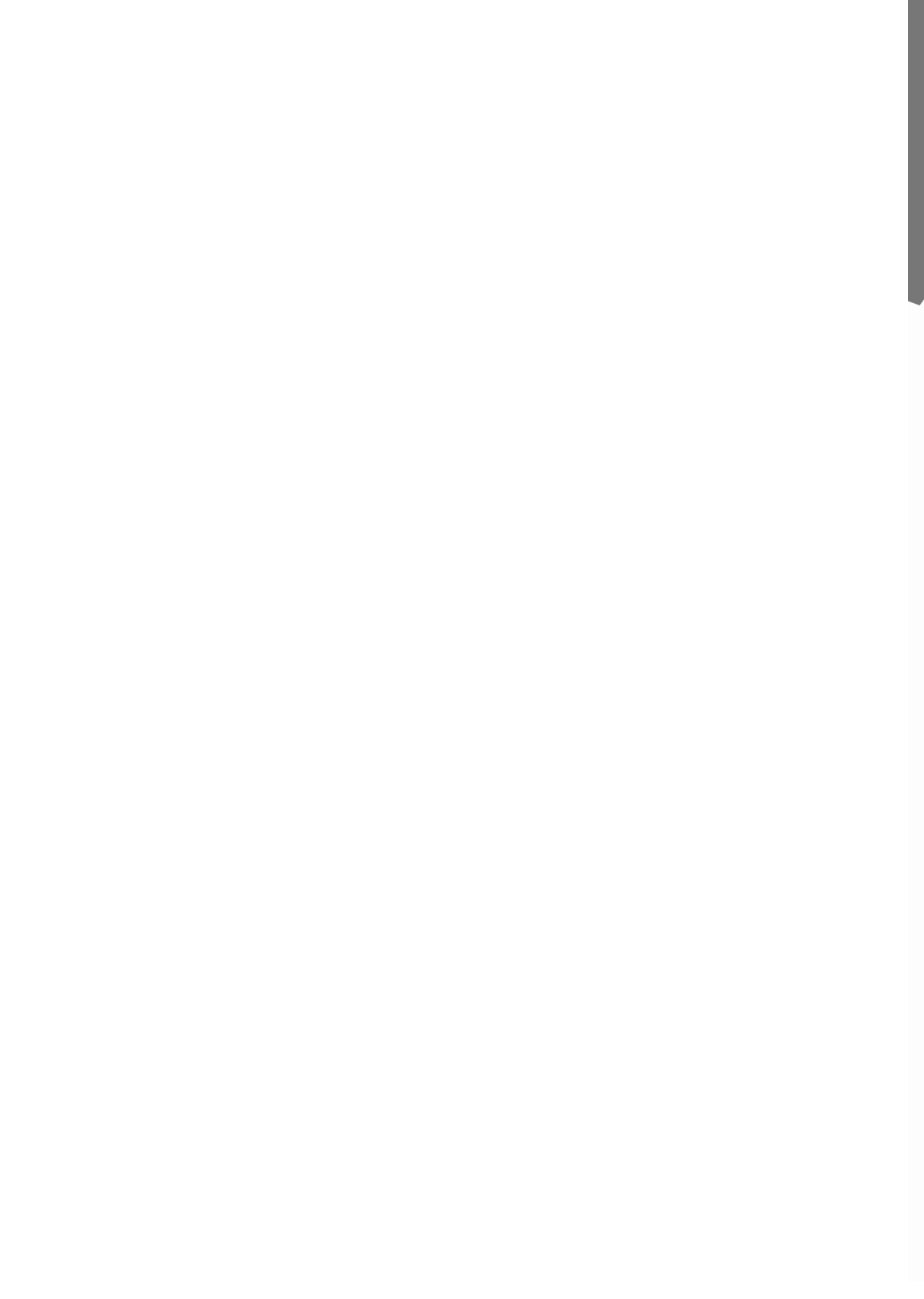




PUCISZKA

i inne opowiadania



Wanda Szczępiorska
PUCISZKA
i inne opowiadania

Warszawa 2016


fundacja
duży
format

Redakcja: Rafał T. Czachorowski

Projekt okładki: Daria K. Kompf

Korekta: Karolina Żyła

Skład: Wanda Mierzeja

© Copyright by Wanda Szczypiorska

© Copyright by Fundacja Duży Format

Wydawca: Fundacja Duży Format
skr. poczt. nr 47
U.P. Warszawa 148
03-295 Warszawa

www.fundacjadf.pl
www.poecipolscy.pl

biuro@fundacjadf.pl
tel. 22-127 59 4

ISBN:

mobi: 978-83-64530-36-4

epub: 978-83-64530-38-8

PDF: 978-83-64530-39-5

druk 978-83-64530-40-1

PUCISZKA

Mama płacze, bo popsuł się telewizor. Przed chwilą poruszały się na ekranie paski, a teraz nie ma nic. Mama domyśla się, że On, mój mąż, wyjął wtyczkę z gniazdka i jest rozgoryczona. Mogłaby pooglądać paski. A ja myślę, że on wyłączył telewizor, bo wiedział, że sprawi tym mamie przykrość. On twierdzi, że gdyby telewizor był włączony psułyby się jeszcze bardziej. Mama usiłuje zaprotestować, ale potrafi powiedzieć tylko: koooot... Czasami udaje się jej powiedzieć coś innego, lecz żadne wypowiedane przez nią słowa nie pasują do sytuacji. Trudno. Przyjdzie ktoś i naprawi, lecz kiedy, nie wiadomo.

Jest wczesne popołudnie, ja i mama idziemy na spacer z dzieckiem. Chłodno, listopad, a więc mama w wytartym płaszczu, w którym chodziłam przez dziesięć lat. Ale ja też nie wyglądam lepiej. Z pewnym mozołem pchając wózek po piasku, wychodzimy z bramy. W którą stronę byśmy nie poszły, w tą, czy w tamtą, zawsze mijamy sąsiadów kręcących się po podwórkach. Przyglądają się nam z daleka. Wiedzą, że mama była nauczycielką, a mimo to czują się nieswojo i gdyby nie przypadek starucha, który leży w komórce po drugiej stronie drogi i też bełkocze (a przecież był normalny) nie wiedzieliby, czy jest chora, czy pomyłona. Mama kuleje, właściwie pociąga nóżką i jedną rękę ma bezwładną. Sąsiadki patrzą podejrzliwie, choć z pewną dozą współczucia, ale nie decydują się odezwać.

Mieszkamy we czworo w jednym pokoju i to jest krępujące w nocy, choć mnie się wydaje, że mama wtedy śpi, a jeśli nie śpi? Wkrótce dobudujemy drugi pokój, kuchnię i łazienkę. Pieniądze są, wystarczy na pustaki i papę na dach, resztę się skombinuje. On wszystko zrobi sam. On potrafi. Zrobi nawet centralne ogrzewanie

i zainstaluje hydrofor. Grzejniki do centralnego pozbiera na złomowisku, pospawa jeśli będzie trzeba, a ja je pomaluje na biało. Piec podwójny z węzownicą do grzania wody zrobi u siebie w pracy. Razem będziemy wiercić studnię, ja będę już wtedy znowu w ciąży. Na jesieni przyszłego roku będziemy mieli dwa pokoje.

Lecz zanim to się stało musiała minąć mroźna zima. W marcu kry utworzyły zator i wylała rzeka. Niegroźnie, ale olbrzymie kry leżały długo na brzegach jak monstrualne cielska. Z czteromiesięcznym brzuchem wyszłam oglądać płynącą tuż za naszym ogrodem rzekę i byłam podekscytowana. To musiał być wyjątkowy rok, bo nic takiego nie zdarzyło się nigdy więcej.

To prawda, że On zarabia marnie, ale dajemy sobie jakoś radę. Odżywiamy się dość oszczędnie. Mama dostaje emeryturę. Odbieram ją od listonosza i dołączam do pieniędzy, za które musimy przeżyć cały miesiąc. Dla mamy zostaje końcówka, kilka złotych zaledwie na cukierki. Kupuje je sama w jedynym sklepie we wsi. Chodzi do sklepu ze mną. Stoimy w kolejce, trwa to długo, czasem kilkadziesiąt minut i kobiety się przyzwyczajają. Gadają albo milczą w zależności od humoru i temperamentu nie zwracając na nas uwagi. Lecz pewno współczują w głębi duszy, że taka grzeczna, miła pani, a nie mówi. Dochodzimy wreszcie do lady. Mama pokazuje co chce kupić i płaci sama. Myślę, że sprawia jej to przyjemność.

W maju stoją już mury dobudówki, nieotynkowane, ale pokryte dachem. Jest korytarz i nowe drzwi, a mnie się wydaje, że mamy już dwa pokoje. Na początku lipca zaczęłam przesuwac meble i wtedy to się stało. Miało stać się za dwa tygodnie, ale stało się tego dnia. Kto i jak zawiózł mnie do szpitala, tego nie pamiętam. Jego na pewno nie było przy tym, bo pracował. Mama i chłopiec zostali z jego matką – mieszkaliśmy przez ścianę – i jakoś to chyba obydwójce znieśli, choć mama musiała być niespokojna. Kiedy wróciłam z nowego, jasnego szpitala, w którym na podłodze było linoleum, a w łazience i ubikacji płytki, dom wydał mi się ciemny, brudny i przygnębiający. Córka mała i pomarszczona. Bardzo podobna do ojca.



Dopóki miałam jedno dziecko lubiłam sobie wyskoczyć do pobliskiego miasta, ale po narodzinach drugiego było to bardzo trudne, czasami jednak konieczne. W mieście czekając cierpliwie na dostawę można kupić kiełbasę, albo jakieś mięso, a w pawilonie handlowym pośrodku miasta mogły pojawić się nieoczekiwane pudła z rajstopami. Nawet wtedy, gdy je wnoszono i rozpakowywano, a sprzedaż jeszcze się nie zaczęła, w sklepie już kłębił się zbity tłum i trzeba było czekać, przepuszczać ciężarne i tak dalej.

Wybrałam się do Warszawy. Z dziećmi została mama, no i jego matka. Musiałam jechać, bo tylko tam, w Warszawie, w spółdzielni dentystycznej robiono szybko koronki za pieniądze, a mnie wypadł ząb. To była pierwsza wizyta, na razie wyrwano mi tylko korzeń i kiedy tak szłam ulicą zbolała, z policzkiem wypchanym gazą, nagle jakaś kobieta, mniej więcej w moim wieku ucieszyła się na mój widok. To dziwne, znała moje imię, a ja nie wiedziałam, kim jest. Oczywiście. Koleżanka z pierwszego roku studiów. Ale ja jej nie pamiętałam. Okazała się przyjacielska, mieszkała niedaleko i zapytała, czy wstąpię. Czemu nie? W tym czasie rzadko widywałam prawdziwe mieszkania w bloku. A jej chodziło chyba o to, żebym zobaczyła męża, bo zaprosiła mnie na obiad. Prawda, że wyglądałam fatalnie, no i nie przewidziałam kim będzie mąż, ale się zgodziłam. Od razu jej powiedziałam, że mieszkam na wsi. Byłam głodna, a powrót na wieś, to dwie godziny z okładem. Zastałyśmy męża w domu. Naukowiec. I na dodatek przystojny. Przywitał mnie bardzo grzecznie. Podobało im się, że mieszkam na wsi. Potem był obiad, a na obiad coś twardego, czego nie mogłam zjeść mając tę dziurę w dziąśle. Usiłowałam jakoś sobie z tym poradzić, mój kłopot był chyba widoczny, ale oni zbyt dobrze wychowani, nie dawali niczego po sobie poznać. Nie pamiętam, co podczas obiadu mówiłam o swoim mężu. Nie wiem, czy powiedziałam kim On jest. Zawsze mówiłam o nim, że jest bardzo zdolny, wręcz utalentowany, opowiadałam jak zrobić dziecku sanki w stylu holenderskim, więc pewno i tym razem opowiadałam o tym, co potrafi, o domu i o tym jak razem wierci-

liśmy na podwórku studnię. I stało się coś dziwnego; nowi znajomi byli zachwyceni, koniecznie chcieli to zobaczyć, więc ich zaprosiłam. Opowiedziałam im o mamie, żeby nie byli zaskoczeni. Wiedziałam, że zachowają się taktownie. Do tej pory nie miewaliśmy zbyt często gości, czasem pojawiał się ktoś z rodziny i ten ktoś zwykle przyjeżdżał do mamy.

Byłam pewna, że nie przyjadą. Na ogół ludzie obiecują, a potem nikomu się jednak nie chce. Ale im się chciało. Ani oni, ani oczywiście my nie mieliśmy telefonu. Widocznie jakoś żeśmy się porozumieli (może listownie), bo byłam przygotowana. Posprzątałam dom ze szczególną starannością, ale i tak czułam zażenowanie. Co prawda, w tym ich bloku łazienka też tylko otynkowana, żadnych kafelków ani płytek, a u nas w nowej łazience było nawet okno, ale wszystko to wyglądało jednak zbyt po amatorsku. Za to On, mój mąż ubrany porządnie prezentował się całkiem nieźle. Nie tak elegancko jak tamten, bo nowi (starzy) znajomi przyjechali ubrani modnie.

Goście byli dla mamy ujmująco grzeczni i ona to doceniła, ożywiona i uśmiechnęta. Podałam obiad, a do obiadu On nieśmiało wyciągnął wódkę. Nie wiadomo; wypiją, czy się obrażą... Nie obrazili się. Wręcz przeciwnie. Trzeba było wyciągnąć drugą, potem trzecią, więcej już nie było.

Tak się zaczęła ta znajomość. Trwała kilkanaście lat. Poznaliśmy się pod każdym względem i z wolna zaczęliśmy się nienawidzić, ale spotykaliśmy się dość często i zawsze te spotkania były ekscytujące, pijane do nieprzytomności i w rezultacie kłopotliwe, chyba dla obu stron. Potem tamten umarł, właściwie zginął w wypadku. Kto mógł przewidzieć, że ona pod koniec lat osiemdziesiątych okaże się antysemitką, a potem na starość słuchaczką Radia Maryja? Za jego życia nic na to nie wskazywało. Chociaż... kto wie? Kiedy w dziewięćdziesiątych latach przywoziła te pisemka (dla mojego męża) powiedziałam, że nie chcę jej więcej znać i to był naprawdę koniec. Ale wtedy, po tej ich pierwszej wizycie, dla nas zaczęło się nowe życie.



Mama chce pomóc, dlatego szyje ubranka dla moich dzieci. Na okrętkę, ścięciem „wilk przez pole”. Nakładam koszulkę córce. Tak mało mam dla nich ubrań, że przyda się każde, nawet tak niezdarne. Mama sprząta po sobie, pierze i nigdy niczego się nie domaga. Dla Niego jest surowa. Chyba go nie lubi. Czasami mu przypominam, że korzystamy z jej pieniędzy i wtedy on robi miawanturę. Właściwie to awantura poprzedza moje przypomnienie. On chce być panem sytuacji, trzymać wszystko w garści. Nie mogę się od niego uniezależnić i prawdę powiedziawszy wcale tego nie chcę, a On jest przekonany, że sama nie dałabym sobie rady. No i dobrze. Pamiętam przecież, że we dwie z mamą balansowałyśmy na krawędzi nędzy.

On jest zaradny i pracowity. A jakże. W kuchence, która jest bardzo mała, pod oknem zrobił szafkę z szerokim blatem pełniącą rolę stołu. Za oknem rośnie jabłoń, na której w zimie powiesiłam karmnik. Mam książkę, w której narysowane są wszystkie ptaki i uczę się nazywać te, które przylatują. Przez cały krótki zimowy dzień mama i ja czekamy i cieszymy się, kiedy przyleci dzięcioł, grubodziób, albo jakiś inny. Na szerokim blacie szafki można rozłożyć gazetę. Dobrze się czyta, bo jest widno. Czytuję na stojąco gotując jednocześnie obiad, Kulturę, Politykę, Życie Literackie.

W tym miejscu, przy tej szafce stało się coś, czego nie sposób zapomnieć.

Może to nie przypadek, że u mnie jedna i druga ciąża zaczynały się w listopadzie. Przyczyniał się do tego widać taki dziwny jesienny nastrój. W grudniu tamtego roku też coś się zaczęło dziać. Były objawy, ale przed świętami wiedziałam, że to fałszywy alarm, bo zaczęłam krwawić. Tuż po świętach stałam któregoś dnia pochylona nad blatem w kuchni i czytałam felieton na ostatniej stronie. Był śmieszny, więc zaczęłam się głośno śmiać. A wtedy poczułam nagle, że to wypada ze mnie, nie wiem co, bezkształtny pęcherzyk jakiś i bardzo krwawię i tego nie można powstrzymać, podłoga cała we krwi, a potem we krwi łóżko. I ja nie bardzo wiem, co się dokoła dzieje. Ale nie czułam ulgi, ani... żalu.

On się upił. Ze strachu. Dopiero następnego dnia pojechalismy do szpitala. A w szpitalu miny, aluzje pielęgniarek, że pewno usiłowałam to sobie usunąć drutem. Dla nich wszystko zawsze jest oczywiste. Chciałam im powiedzieć, że stało się tak, bo się śmiałam. Czytałam felieton Hamiltona. Nie wiedziały, kto to. A ja, że śmiech spowodował skurcz mięśni, a płód był martwy, i tak dalej. Tak, tak. Nikt nie wierzył. Pobyt w szpitalu był krótki i przyjemny. Leżałam odurzona czymś, o czym mówili „głupi Jaś”. Potem bardzo chciałam doświadczyć tego jeszcze raz.

Dla pielęgniarek byłam kobietą z marginesu, a ja nie jestem przecież byle kim. Jestem wykształcona. Naczytałam się tylu książek, że mogę uchodzić za inteligenta. Jesteśmy kulturalni. Co prawda, On na pewno nie jest inteligentem. Jest robotem. Ale utalentowanym. A mama? Mama niegdyś uwielbiała kino i była specem od krzyżówek. Mówię to w czasie przeszłym, bo teraz nic już nie potrafi, filmów zapewne nie rozumie, a o czytaniu książek mowy nie ma. Co czuje, co myśli? Nie wiem. Boi się śmierci? Nie wiem. Popłakuje.



Powinnaś nadać imiona koleżance i jej mężowi, żeby znów mogli się tu pojawić. Bo stali się dla nas bardzo ważni. Ich sposób życia był dla nas nieosiągalny, ale stanowił jakiś wzorzec. Nazwę ją więc Teresą, a jego Kazimierzem.

Przyjeżdżali co jakiś czas brnąc piechotą od oddalonej stacji kolejowej, ale to też chyba sprawiało im przyjemność. Latem atrakcją była rzeka i białe plaże, przejrzysta woda, tylko trochę zanieczyszczona. Wiosną i wczesnym latem przyjeżdżali często, w lipcu już nie, bo wyjeżdżali na wakacje. Wszyscy czworo mieliśmy wtedy tak plus minus, po trzydzieści lat. Nasze wzajemne stosunki zaczęły się plątać, wikłać, nabierały podtekstów nieco erotycznych. Teresie podobał się On. Nie tyle podobał się, co podniecał swoją innością i nieśmiałością. Ja chciałam podobać się Kazimierzowi. Nie wiedziałam, że to daremny trud. Kazimierz też wolał jego i chyba dlatego

tu przyjeżdżał. Być może miał nadzieję, że zdarzy się okazja, która pozwoli mu nabrać przekonania, że się nie pomylił. I nadarzyła się, ale dużo później. Dopiero po śmierci mamy. A ja to widziałam na własne oczy. Doprawdy, nie ma o czym gadać.

Wkrótce się okazało, że Kazimierz jest alkoholikiem i to takim, który nie może spędzić wieczoru w samotności. Może gdyby miał telewizor... Ale nie miał. Dla niego, intelektualisty, no... może inteligenta raczej, telewizor był złodziejem czasu. Dlatego wieczorami szukał towarzystwa. Co to było za towarzystwo nie mam pojęcia, wiem tylko, że któregoś wiosennego dnia o świcie znaleźliśmy go pod jabłonką. Spał. A właściwie już się obudził. Nie wiedział jak się tu znalazł. Zdawało mu się, że szedł piechotą. Bardzo możliwe. Jeśli wyruszył wieczorem, to mógł dojść do rana. A może ktoś go podwiózł? On sobie nie przypominał, a dla nas tym bardziej było to niejasne. Wydaje mi się, że ta pijana wędrownica była swojego rodzaju wyznaniem. Ale to nie chodziło o mnie.

Musieli tam, w Warszawie często rozmawiać o nas między sobą. Obydwoje mieli tu swoje osobiste sprawy. Lecz każda sprawa była trochę inna, a więc mówiąc o nas oszukiwali się nawzajem. Podejrzewam, że nade mną się litowali. Większość ludzi tych, którzy mnie mało znają, lituje się, nie wiem czemu.

Mama była życzliwym świadkiem naszych spotkań, usiłowała nie przeszkadzać i nie narzucać swojego towarzystwa. Siedziała z nami przy stole cichutko, starając się jeść tak, żeby nie widać było częściowego paraliżu twarzy. Czasami się zastanawiałam, jak to jest być tak całkowicie na marginesie, być człowiekiem, któremu obcy poświęcają zdawkową uwagę z uprzejmości i kiedy się jest... osobno?

Niepokoiliam się o mamę, bo okazało się, że zachorowała na padaczkę. Pogotowie przyjechało, gdy już było po ataku i dostała kropelki nasercowe. Potem przyjechał lekarz z Ośrodka Zdrowia i też zapisał kropelki. Nic nie powiedział o padaczce i nie dał żadnych leków. No tak, mamę spisano na straty.



Krąg znajomych poszerzył się o pewną doktorantkę historii, znajomą Kazimierza. Jest samotna, dlatego łatwo ją było tutaj zwabić. Ją też fascynuje życie na wsi, choć nie pozbyłaby się swojej kawalerki w centrum. Trochę to nas kosztuje. Życie towarzyskie. Na jedno z przyjęć poszło pół wyplaty. Ale było wesoło. Chociaż... bo ja wiem?

To krępujące, że wciąż chodzę w starym płaszczu, a Teresa koniecznie musi mieć modny kozuch. Rozkloszowany, obszyty kosmatym futrem. Takie kozuchy szyją w Garwolinie. Należy pojechać i zamówić, a potem pojechać jeszcze raz po odbiór. Mam jej towarzyszyć. Mnie nigdy nie będzie stać na kozuch, ale pojechać mogę. Do Garwolina jedzie się pekaesem. Jest wczesna jesień, na szosie lubelskiej długo czekamy na autobus. Dzieci zostały z mamą. Niepokoję się, bo wrócę późno. A jednak towarzystwo znajomych, o których nie mówimy „przyjaciele” jest tym, z czego nie potrafiabym zrezygnować.

Jesteśmy do nich zaproszeni. Do Teresy i Kazimierza. To rewanż, a może i coś więcej. On będzie tam po raz pierwszy. Kogo oprócz nas zaproszą, nie wiemy. Oczywiście będzie ta doktorantka i jeszcze inni, ale na ogół będą pary. Znajomi z Uniwersytetu, bo Kazimierz jest wykładowcą. Jest sobota. Październik. A może to imieniny? Chyba nie, bo nie wieziemy prezentu, ani kwiatów, tylko półlitrowkę. Ubrani jesteśmy jako tako. Ściemnia się. Kiedy i jak wrócimy do domu, nie wiem. I nawet nie myślę o tym.

Być może rozmawialiśmy o czymś podczas tej podróży, ale ja tego nie pamiętam. Pamiętam gesty, spojrzenia, wygląd nas obojga, pośpiech i niepokój. Widocznie ludzie rzadko mówią do siebie coś, co warte byłoby zapamiętania. Znaleźliśmy szary blok stojący ukosem do ulicy, piąte piętro, korytarz jak w hotelu (nigdy nie byłam w hotelu), drzwi. Dzwonek. Witają nas gospodarze, a półlitrowka zmienia właściciela. Chyba jesteśmy pierwsi. Ja znam to mieszkanie, ale On nie, dlatego rozgląda się ciekawie.

Pod oknem szerokim na całą ścianę stoi stół, a na nim misy z brukselką, szklanki i kieliszki. Podobno nic innego nie będzie, tylko ta brukselka.

– Świetny pomysł – mówię – wykwinny, bardzo elegancki.

Zauważyłam, że On jakby dygoce lekko. To z emocji. Knajpa dworcowa, wesele, albo święta w rodzinnym gronie tak, to zna. Ale na takim przyjęciu jeszcze nie był i nie domyśla się, że to on będzie tu atrakcją. Ja jestem kimś jak oni, ja się nie wyróżniam. Miejsc do siedzenia jest niewiele, tapczan i parę krzesel, a więc siadamy na tapczanie. Zbyt nisko. Korzystamy z okazji, kiedy wchodzi następni goście, witamy się przedstawieni przez gospodarzy i szybko zajmujemy krzesła. To tak na razie, potem wszyscy będą pili wódkę i jedli brukselkę na stojąco. Pokój się zapełnia. Przyjemny, intymny półmrok. Po pierwszych kieliszkach czujemy się rozluźnieni, nawiązujemy kontakt. Ja z mężczyznami, a Jego zagarnia ta doktorantka historii. Nie jest ładna, ale On wydaje się zadowolony, a mnie jest wszystko jedno. Na takich prywatkach na ogół nic się nie wydarza godnego zapamiętania. Ktoś bardziej pijany od innych robi z siebie błazna. W półmroku przemieszczamy się z kąta w kąt. Ktoś pyta mnie kim jestem, bo widzi mnie pierwszy raz. Kim jestem? Nie umiem odpowiedzieć, a może nie chcę się przyznać. Tu każdy jest kimś, nawet błazen. O Nim, o moim mężu wszyscy już wszystko wiedzą. Kazimierz się pochwalił. Bo On, mój mąż, nie jest żadnym tam konserwatorem, czy palaczem na uniwersytecie, których widują co dzień, ale prawdziwym chłoporobotnikiem. Ze wsi.

Widzę, że jest pijany, cały rozedrgany, zbytnio ożywiony i boję się kompromitacji, chociaż sama też jestem pijana. Tańczę z kimś obcym. Potykamy się i padamy na tapczan. To tylko nieszczęśliwy wypadek, nic nie znaczy, podnosimy się i tańczymy dalej. Powietrze gęstnieje, staje się nieprzejryste od alkoholu bardziej niż od dymu, jest coraz ciemniej i ciśnień, mam jakby ograniczony krąg widzenia. Co dzieje się pod oknem, albo w pobliżu drzwi, nie wiem. Wiem tylko, że ktoś mi się przygląda. Krytycznie. To pewno z powodu stroju. A może nie? A może z powodu męża? Co tam. Gospodyni jest przecież moją przyjaciółką. Chciałabym zbliżyć się do Kazimierza. Mam nieodpartą ochotę poczuć jego bliskość. Po chwili tańczymy przytuleni, a ja nie bardzo wiem, jak do tego doszło. Widzę Jego, mojego męża. Siedzi na tapczanie oparty o ścianę, patrzy na nas, ale nas nie widzi. Znam ten wyraz twarzy tępy, nieobecny. Wiem. Od tego momentu nic już nie będzie pamiętał. Powinien się przespać. Co ze mną? Już nie tańczę. Też siedzę na tapczanie. Siedzimy osobno,

jedno od drugiego w pewnej odległości. Goście wychodzą nie żegnając się. A może mówią do widzenia, tylko ja nie zwracam na to uwagi? Zaczynam się niepokoić. Trzeba iść na dworzec. Piechotą. Kawał drogi. To już nieaktualne, bo On zasypia, zsuwa się na tapczan. Teresa i Kazimierz naradzają się, mówią, że wszyscy czworo będziemy spali na tapczanie. Na razie Teresa zbiera kieliszki ze stołu, a Kazimierz krąży niespokojnie. Potem leżymy obok siebie w takiej dziwnej konfiguracji; ja i On w środku, a Teresa i Kazimierz po bokach, z tym że Kazimierz z jego strony. Zasnąłam. I chyba nie stało się nic takiego, co należałoby zapamiętać.

Do domu dotarliśmy przed południem następnego dnia. Mama skrajnie zdenerwowana, roztrzęsiona, usiłowała robić mi wyrzuty. Ale mnie było tak niedobrze.

Po tym wydarzeniu życie towarzyskie zamarło na jakiś czas, to znaczy do następnego lata. Moje życie, bo On sobie jakoś radził. Miał kumpli, którzy wsiadali i wysiadali na tej samej stacji. Mógł się nagadać w pociągu.



Lubię jesień, dopóki nie jest bardzo zimno. Chodzimy z dziećmi na spacer. Mama mi towarzyszy. Chodzimy do sosnowego lasu, w którym jest zacisznie. Las jest niewielki, ale ma ten przedziwny, nieuchwytny zapach. Znow trzeba będzie zacząć palić w piecu. I przygotować karmnik dla ptaków.

Ataki padaczki u mamy stawały się coraz częstsze. Raz upadła w ogrodzie, innym razem w domu. Nie umiałam jej pomóc. Nikt nie umiał, a szczególnie lekarz. To był mężczyzna. Przyjeżdżał z Ośrodka Zdrowia zwykle następnego dnia i poprzestawał na badaniu. Nie musiał nic mówić, sama wiedziałam, że jest bardzo źle.

Mama umarła w maju. Umarła w nocy, kiedy wszyscy spali. Cierpiała bojąc się śmierci, sama śmierć przyszła nagle. Była piękna pogoda i wszystko kwitło. Na biało kwitła czeremcha, tu we wsi zwana puciszką. A ta puciszka bardzo dziwnie i intensywnie pachnie.

To nie mija. To wraca stale. Ten zapach pozostanie zapachem śmierci.

CZYTANIE PROUSTA

Wakacje spędzaliśmy osobno. Nie mieliśmy pieniędzy i trzeba było jechać gdzieś, przesiedzieć, przeżyć się do czasu nowego stypendium. W czerwcu robiłam z Andrzejem i Grzegorzem kufelki do prywatnego teatryku. Każde z nas trojga przygotowało projekt, ale oni uznali, że tylko mój nadaje się do realizacji. Przez cały czerwiec ja szyłam, oni montowali. Dostaliśmy pieniądze. Niezbyt wiele.

A potem Grzegorz napisał do mnie do Jeleniej Góry, gdzie byłam u mojej siostry, że musi wyjechać z Andrzejem do Lublina, bo nie ma z czego żyć; „W Warszawie sprawa wygląda beznadziejnie”. „Bardzo ciężko, w ogóle nie mogę malować” i tak dalej. „Zazdroszczę, że masz spokój i wolny umysł...”

To nieprawda. Też było mi bardzo ciężko.

Z Grzegorzem nie mieszkaliśmy nigdy razem, chociaż on miał coś w rodzaju mieszkania w drewniaku na peryferiach, ale od roku byliśmy nierozłączni. To znaczy, nie zawsze nocowałam u niego, często wracałam do domu, żeby coś zjeść i przebrać się. Do niego jechaliśmy po zajęciach na ASP. Grzegorz miał, co prawda, worek fasoli i słoninę żółtą ze starości, ale nie chciałam go objadać. Dotychczas bardzo towarzyski, przy mnie zaczął prowadzić życie samotnika i to nie tylko dlatego, że na rozrywki nie było pieniędzy. Chodziliśmy do teatrów tylko we dwoje, wejściówki po trzy złote, a w domu, czyli u niego, czytałam głośno „W poszukiwaniu straconego czasu”. Kiedy czytałam, to ja siedziałam na naszym wąskim, żelaznym łóżku, a on gdzieś pod ścianą. Słuchał.

Łóżko z niezbyt świeżą pościelą i wygniecioną poduszką.

Byłam gościem. Nie do mnie należało sprzątanie i gotowanie fasoli na maszynie. To on robił herbatę, bardzo mocną (mdliło mnie od niej, ale udawałam, że taką lubię).

Nie było mowy o małżeństwie. Byłam trzecią mieszkanką tej pracowni, trzecią i najważniejszą. Ta pierwsza uśiłowiała go wychowywać, a druga się nie liczyła. Nigdy nie powiedziałam, że go kocham. Kochać, to znaczy związać się, a ja wiedziałam, że z nim nie można się związać.

W połowie lata napisał, że malują z Andrzejem święte obrazy i uśiłują sprzedać, ale to na razie się nie udaje. Głodował. „Człowiek przestaje myśleć i reagować na cokolwiek oprócz wystawy u rzeźnika. Jedyne, co czasem odczuwam, to tęsknota”, pisał, żalił się. Pewno. Też tęskniłam.

A potem pisał z Lublina, że mają nową pracę, malują freski w przedszkolu za tysiąc pięćset złotych z wyżywieniem. Nastrój mu się poprawił. Mniej było w listach o tęsknocie, a więcej o miłości. Pisał, że słyszy mnie czytającą Prousta. „...i teraz, ilekroć przypomnę sobie jakiś moment z Prousta, słyszę twój głos, który chciałbym zatrzymać i tak się w nim zatracić...”. Wzmianka o czytaniu przeze mnie Prousta była w każdym liście. Jak również o moim ciebie, ale pamięć o lekturze była dominująca. Według niego ucieleśniałam ją, cytuję: „mógłbym myśleć, że nie ma żadnej książki, a ten wspaniały świat istnieje tylko za sprawą twojego głosu”. Ja też pisałam o tęsknocie, ale nigdy nie napisałam, że go kocham. To było jak obrona twierdzy. Kiedy to powiem, poczuję się bezbronna. Pisałam mu tylko o tym, co robię w ciągu dnia.

Tęskniłam do tego żelaznego łóżka, które było moim drugim domem. Wakacje się dłużyły, w Jeleniej Górze miałam być do początku września. Kiedy dowiedziałam się, że Grzegorz przyjechał do Warszawy, poczułam zniecierpliwienie, gwałtowną potrzebę powrotu. Ale zanim wróciłam minęło kilka dni.

Jechałam na przedmieście, gdzie stał ten kwaterunkowy drewniak, z pewnym lękiem. Po dwóch miesiącach rozłąki byliśmy już trochę inni. Bardziej stęsknieni, bardziej sobie bliscy, a jednocze-

śnie jakby obcy. Wyobrażałam sobie radość, czułość i poznawanie się od nowa.

Było przedpołudnie. Dzień prześwietlony z ukosa wrześnie-
wym, jaskrawym słońcem. Na miejsce dojechałam pociągiem elek-
trycznym. Ciepło. Zaczynały opadać liście. Otwarte drzwi wejściowe.
Korytarz. Dlaczego czuję lęk? Drzwi do pracowni w głębi. Nie muszę
przecież pukać, jestem u siebie. W domu.

Od razu zobaczyłam, że nie był sam. Ona siedziała na łóż-
ku, ubrana, ale niekompletnie w jakiejś koszuli, czy coś takiego,
taka przeciętna dziewczyna, niezbyt ładna. A ja wtedy poczułam
nie gniew, nie rozpacz, ale wstyd. Powiedziałam „przepraszam”
i wyszłam.

Ale rozpacz pojawiła się tuż za drzwiami. Wiedziałam, nie
mogę płakać, bo on zaraz wybiegnie za mną. I wybiegł. Szedł ze
mną w stronę dworca. Wyjaśniał, tłumaczył, prosił i chyba nawet
płakał. Rozstaliśmy się kiedy nadjechał pociąg. Powiedziałam mu,
że to koniec.

To nie był koniec. Mieliśmy jeszcze przed sobą dwa tomy
„W poszukiwaniu straconego czasu”. Po paru dniach byliśmy znowu
razem, teraz już nierozłączni na dobre. Po pewnym czasie zaczęło
mi to ciążyć, zaczęło się robić duszno. Teraz już byłam pewna; nigdy,
no – może nie nigdy, może w najbliższym czasie, nie znajdę spinki
do włosów obcej dziewczyny pod poduszką. Jego skrucha była jak
więzy, a ja coraz bardziej pragnęłam być znowu wolna. Zaczęłam się
wymykać. Chodziłam tu i tam sama.

No i odeszłam pewnego dnia na zawsze nie doczytawszy
ostatniego tomu.

Spis treści

Puciszka	5
Czytanie Prousta	15
W zawieszeniu	18
Powrót	21
Kiedy miałam szesnaście lat...	31
Przybysze	34
Niedokończona	37
Koło młodych	40
Brzydki chłopiec	42
Niebieskie pończochy	48
Kto płacze?	54
Przyjaciółki	58
Chocholi taniec	63
Sidła	68
Szansa	79
Mąż	84
Cisza pod drzewami	87
Dalszy ciąg starej historii (sidła)	92
Archipelag	98
Cienie	102
Wysoka gorączka	110
W niebyt	112
Obraz	118
Czad	121
Pisarz	124
Zrobił to z ciekawości	130
Exodus	133
Las	137
Intruz	139
Mróz	142